Kościół ostrowski daleki jest od ukończenia, popsute organy w Zuzeli, nie wylewajmy zawartości nocników z okien i nie skaczmy przez rynsztoki, brak solidarności w okolicach Sterdyni

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Rok 1911, kadra oficerska stacjonującego w Komorowie 1. Batalionu 24. Symbirskiego Pułku Piechoty.
Autor fotografii Stanisław Bogacki, właściciel warszawskiego Atelier Fotograficznego przy Krakowskim Przedmieściu 7[1].

Psują się kościelne organy w Zuzeli, ale nie ma ich komu naprawić, bo pieniędzy szkoda, a mało wyrobiona muzykalnie publiczność i tak przecież nie rozpozna różnicy w jakości wydawanych dźwięków.

Dziennikarze naszej regionalnej gazety upraszają, aby zawartości wstydliwych naczyń, nie wylewać przez okna na chodniki, bo sprawia to przechodniom dotkliwą przykrość. Jeżeli już ktoś inaczej nie potrafi, bo tak go rodziciele nauczyli, to niech to robi ostrożnie. Spójrzmy w prawo, w lewo, jeszcze raz w prawo, a przede wszystkim w dół i dopiero wtedy wylewajmy. Nic dziwnego, że jeżeli ktoś przechadzał się ulicami naszych miast po zmroku, to szedł środkiem ulicy, a jeśli było to niemożliwe, np. z racji tragicznego stanu bruku, to idąc trotuarem, wydawał z siebie ostrzegawcze okrzyki: „Idzie się, idzie się, idzie się…".

Wszystkie nieczystości spływały wzdłuż ulic, pokaźnej szerokości rynsztokami, w których pokonaniu pomocą służyły mostki, ale z racji ich marnej jakości i braku dbałości przechodniów o kondycję fizyczną, wielu chcąc pokonać cuchnący ruczaj susami, lądowało w błotnistej mazi, doznając odzieżowego, cielesnego i moralnego uszczerbku.

Za jedną z cech charakteryzujących mieszkańców okolic Sterdyni uznaje dr Adam Jarosiński – brak solidarności. Według doktora będzie sterdyniak narzekać na dziurę w drodze, wyklinać sąsiadów i rządzących, ale palcem nie ruszy, by dziurę zasypać, choćby miał w niej kulasy połamać… no, chyba że ktoś mu to odgórnie nakaże (zasypanie, a nie połamanie).

Kilka tygodni temu zamieściliśmy dwujęzyczny dowód na możliwość, a nawet potrzebę… a co tam – konieczność noszenia dżinsów przy każdej okazji i pogodzie[2]. Dziwimy się zatem, że pan Zygmunt pyta, czy może założyć dżinsy, udając się do opery. Przyznajemy, że sprawę potraktowaliśmy wówczas dość pobieżnie, więc celem dania adekwatnej odpowiedzi, przyjrzyjmy się problemowi nieco baczniej.

Dżinsy nosi w naszej redakcji zarówno elegancka redaktorka Beata, jak i Naczelny, stanowiący niejako przeciwieństwo Beaty, bo zęby ma pożółkłe z tytułu namiętnego nadużywania tytoniu, twarz zaś pomarszczoną, a włosy poważnie przerzedzone (poprawność polityczna zabrania używania pojęcia – „łysy"). Naczelny twierdzi, że to z powodu pracowitego żywota, niechętni zaś jego osobie rozpowszechniają pogłoski, że to efekt rozwiązłości. To akurat wydaje się

[1] *Wpamiat' stoletija 24go piechotnogo Simbirskogo połka 1811-1911*, Warszawa 1911.
[2] Ten dwujęzyczny dowód zamieszczamy jeszcze raz TUTAJ.

kłamstwem, bo nawet jeśli Naczelny przejawiałby głęboko skrywane chęci do oddania się rozpuście, to na spełnienie tych pragnień brakłoby Nadredaktorowi środków.

Nie ma co ukrywać, że w czasach młodości zespołu redakcyjnego, oryginalne dżinsy były marzeniem każdego młodzika, co być może było przejawem buntu wobec starszego pokolenia, które nawet na Giewoncie paradowałoby najchętniej – w przypadku mężczyzn w garniturach, dam zaś w dwuczęściowych kostiumach. Oczywiście, osoby obecnie wiekowe, a z natury swej zakłamane, wykrzykną w tym momencie – Nie! Ja nie marzyłem/am! To oczywiście wierutne kłamstwo, bo marzyli, nawet ci, którzy zarzekają się, że tego nie robili. Naturalnie, jeśli przed ponad półwiekiem należeli do przeróżnych związków i organizacji, to musieli przynajmniej oficjalnie odżegnywać się od podobnych zachcianek, ale redakcja nigdy zrzeszona nie była, więc mogła sobie marzyć, o czym tylko jej się żywnie podobało.

Rzecz jasna, bardzo istotna była marka: *Wranglery*, *Rifle*, *Levisy*, *Lee Coopery*, a nawet jeśli redakcja dobrze pamięta *Mavericki*. Ta ostania marka była chyba niszowa, znana wyłącznie szczęśliwcom, którzy otrzymywali paczki zza oceanu. Ze wstydem należy przyznać, iż w większości przypadków marzenia trzeba było przykrawać do możliwości finansowych i wciągać na cztery litery przeróżne rodzime podróbki, a w redakcyjnej pamięci utkwiły szczególnie te o nazwie – Odra. No cóż, było to dosyć upokarzające i spychało młodego, ambitnego człowieka do roli szkolnego pariasa.

Noszenie ciuchów potępianych przez lwią część starszego pokolenia stanowiło dodatkowy bodziec, bo nie ma co ukrywać, że nie ma takiego języka, który umożliwiałby międzypokoleniowe porozumienie, zwłaszcza że młodzi, nie mają ochoty słuchać tego, co prawi pokolenie dojrzałe. Tak było, tak jest, tak będzie na wieki wieków – trzeba się z tym pogodzić i basta!

Noszenie w naszym kraju dżinsów było wprawdzie przez władze niechętnie widziane, ale niestety, nie czynnie zwalczane, bo wtedy redakcja mogłaby napisać czterotomowe dzieło o swej martyrologii. W niektórych krajach metody walki z dekadenckimi, modowymi „dzikusami" przybierały formy znacznie ostrzejsze i dotyczyły nawet kroju spodni zwykłych, czyli szytych z materiałów tradycyjnych. Redakcja gdzieś usłyszała, albo przeczytała, że modnisiów noszących w Chinach zbyt wąskie pantalony, po prostu wtrącano do więzień. Niektórzy z nieszczęśników tłumaczyli, że to nie ich wina, bo takie spodnie uszył im krawiec. Krawiec zaś tłumaczył, że takie nieprawomyślne galoty kazał uszyć klient. Oczywiście, nie z ludowymi stróżami porządku takie numery, bo przecież partyjne rozporządzenia jasno mówiły, jak kształtować proletariacki gust młodego pokolenia, a jeśli ty krawczyku propagujesz feudalno-burżuazyjne gusty, no to marsz za kratki.

Podobno w Bułgarii i Rumunii podejście do kwestii nazbyt wąskich spodni było bardziej liberalne niż w Chinach. Milicja wciągała modowego buntownika do bramy i kazała zdjąć spodnie bez zdejmowania butów. Jeżeli ziomek Nadii Comăneci, a zatem najprawdopodobniej utalentowany gimnastyk nie był w stanie tego uczynić, to pomagano lebiedze poprzez rozcięcie nogawek.

Nic zatem dziwnego, że wraz z upadkiem komunizmu noszenie dżinsów przestało mieć posmak czynu bohaterskiego. Dżinsy stały się spodniami takimi jak każde inne, a co gorsza, ze względu na wymienialność złotego, dobrem powszechnie dostępnym, a tym samym mało interesującym.

Czy noszenie dżinsów ma zatem jeszcze sens jakiś? Nie wiemy, jak to jest z młodymi, ale starsi noszą je głównie dla wygody i z przyzwyczajenia. Dotyczy to nawet ludzi najstarszych, do których od niedawna zalicza się także redaktor Zenek (młodszy swoją drogą od Naczelnego). Zenek przynależy do najbardziej zaawansowanej grupy wiekowej dzięki swoim wnukom. Ten, po dziś dzień miłośnik zespołów *Supertramp*[3] czy *Yes*, otrzymał od wnuków na urodziny nagrania Mieczysława Fogga i Hanki Ordonówny. Bezczelni, pozbawieni empatii wnuczkowie uznali, że ludzie w wieku Zenka właśnie za tym przepadają – nie musimy dodawać, że Zenek jest załamany.

Czy wybierając się do opery, można włożyć dżinsy? Podejdźmy do problemu w sposób historyczno-biograficzny. Czy na jakichkolwiek ilustracjach i fotografiach widział Pan w dżinsach: Nerona, Czyngis-Chana, Stalina, Hitlera, Idi Amina, Pol Pota i innych tego rodzaju, krwawymi zgłoskami zapisanych w historii typków? Oczywiście, że Pan nie widział! Jeżeli więc dyrekcja opery zamiast ludzi w dżinsach, woli widzieć podobne kreatury, to trudno – proszę zrezygnować z odwiedzin ich godnego pożałowania przybytku.

[„Przegląd Katolicki”, nr 4 z 24 stycznia 1889 r.]

Z Ostrowia pisze do nas ksiądz Jarnutowski. Niestety „Kurier Codzienny”, „Dziennik dla wszystkich” i „Rola” ogłosiły błędnie, że kościół w m. Ostrowiu już prawie ukończony i na wewnętrzne upiększenie jest zebrany fundusz, gdy tymczasem budowa tego kościoła jest zaledwie w połowie i roboty z lata niezapłacone dotąd. Błędne takie w dziennikach wiadomości szkodzą kościołowi, bo tamują ofiarność. Byłoby pożądanym, aby pisma periodyczne, wiadomości swoje czerpały od źródeł kompetentnych, które przecież łatwo są dostępne.

[3] Próbkę tego, co słucha zacofany, anachroniczny Zenek, a co jego wnukowie uznają – z pewnością słusznie – za żenadę, można usłyszeć TUTAJ (redakcja zamieściła ten link, jedynie ze względu na znaczne przesuszenie okolicznych gruntów).

[„Przegląd Katolicki”, nr 32 z 7 sierpnia 1890 r.]

Kościół w Ostrowiu. Wiele wsi naszych a szczególniej miasteczek, mają wcale pokaźną przeszłość. Wszakże pożary, powodzie, napady Tatarów i wojny szwedzkie zatarły ich fizjonomię pierwotną, jeśli nie przywiodły do zupełnej ruiny. Dzieła historyków starożytności, a obecnie *Słownik geograficzny*, czynią znakomitą przysługę, przekazując potomności szczegółowe opisy topograficzne. Do miejsc cieszących się lepszą przeszłością bez wątpienia należy dziś powiatowe miasto Ostrów w gub. łomżyńskiej. Według Balińskiego było Ostrowie v. Ostrow wsią do połowy XV w., a do godności miasta wyniesione w r. 1410. Lecz przez kogo nadany ten przywilej – nie wiadomo. To pewne, że list Bolesława, księcia Mazowieckiego z r. 1434 nazywa Ostrów miastem. Lustracja z r. 1616 zaznacza wszystko, co się podówczas w Ostrowiu znajdowało: „Leży Ostrowia w starostwie nurskiem; sądzą w nim roki ziemskie i grodzkie. Dwór królewski przy mieście. Ma włók w gruncie średnim 82, między któremi wojtowskich 10, plebańskich 3. Domów wszystkich i z siedliskami jest 433. Było domów przedtem więcej, ale spustoszały i niektóre w ogrody obrócono etc.”. Anna Jagiellonka bardzo się opiekowała Ostrowią, udzielając różne przywileje.

W czasie wojen szwedzkich, jak cały kraj, tak Ostrów ucierpiał wiele. Przeto radcy miasta stawili się osobiście przed królem Michałem Korybutem Wiśniowieckim i wyjednali odnowienie przywilejów dawniej nadanych miastu. Jednakże nigdy już nie wróciło do pierwotnej świetności. Za naszych czasów była to uboga mieścina, przeważnie zamieszkała przez Żydów, trzymających handel w swym ręku, gdy Polacy trudnili się uprawą roli. Rozdział tych zajęć dotąd się utrzymuje. W r. 1848 ożywił się znacznie Ostrów, gdyż tędy szedł głównie prowiant dla wojsk cesarskich, walczących w Węgrzech. Wybudowano 18 wiatraków, które mełły zboże. Dziś przeważnie stoją one bezczynne, gdyż okolica tylu wiatraków nie spożytkuje. Utworzenie nowego powiatu znacznie się przyczyniło do uporządkowania, nawet upiększenia miasta, ale niewiele do jego powiększenia.

Dziejów tutejszego kościoła ściśle określić niepodobna. Bez wątpienia przy dworze królewskim, z którego obecnie ani śladu nie pozostało, istniała kaplica. Potem stanął drewniany kościół parafialny, który zgorzał w r. 1555. Zbudowano nowy, a gdy i ten uległ zniszczeniu, wystawiono w r. 1801 dzisiejszy drewniany, a jednocześnie cztery małe kapliczki w rogach cmentarza, mające służyć do śpiewania ewangelii w uroczystość Bożego Ciała. Przy zwiększeniu się znacznym parafii, zaledwie cząstka wiernych mogła się pomieścić w świątyni Pańskiej. Dzisiejszy proboszcz i dziekan w Ostrowiu ks. Jarnutowski, przybywszy tu przed kilkunastu laty, postanowił zaradzić temu niedostatkowi. Lecz niełatwa była to sprawa, gdyż parafia uboga, dużo pozostawiała do życzenia i co do swej gorliwości. Wszakże każdorocznie zwiększała się niedogodność z powodu wzrostu liczby parafian.

Przeto przed sześciu laty porobił proboszcz stosowne starania o przeprowadzenie wymaganych formalności, uzyskał zatwierdzenie planów, a porozumiawszy się z p. Czosnowskim, architektem w Warszawie, rozpoczął budowę nowego kościoła. Przychylni nawet ludzie dziełu tego rodzaju, dziwili się bardzo śmiałości ks. Jarnutowskiego, albowiem dobrze znali warunki nader trudne. Sz. proboszcz niczym zrazić się nie dał. Kopał fundamenty, wypalał cegłę i z mrówczą skrzętnością gromadził materiały, a mając nieocenioną pomoc w p. Czosnowskim i korzystając z jego praktycznego doświadczenia, w przeciągu kilku lat wystawił mury wspaniałej świątyni i nakrył je dachem. Kościół to w stylu gotyckim, z cegły czerwonej, o

dwóch wieżach. Dodamy, iż w tej chwalebnej budowie, każdy szczegół trafnie jest obmyślony, wykonany dokładnie i całość nic do życzenia nie pozostawia.

Lecz wiadomo, że mury, to zaledwie połowa budowy, szczupłe zaś fundusze zupełnie wyczerpane, a na zebranie nowych nie ma żadnego sposobu. Byłoby szkodą niepowetowaną, gdyby tak piękna budowla nie doczekała się rychłego ukończenia. Żywi jednak ks. Jarnutowski nadzieję, że ludzie dobrej woli poprą jego pracę i starania.

X. R.

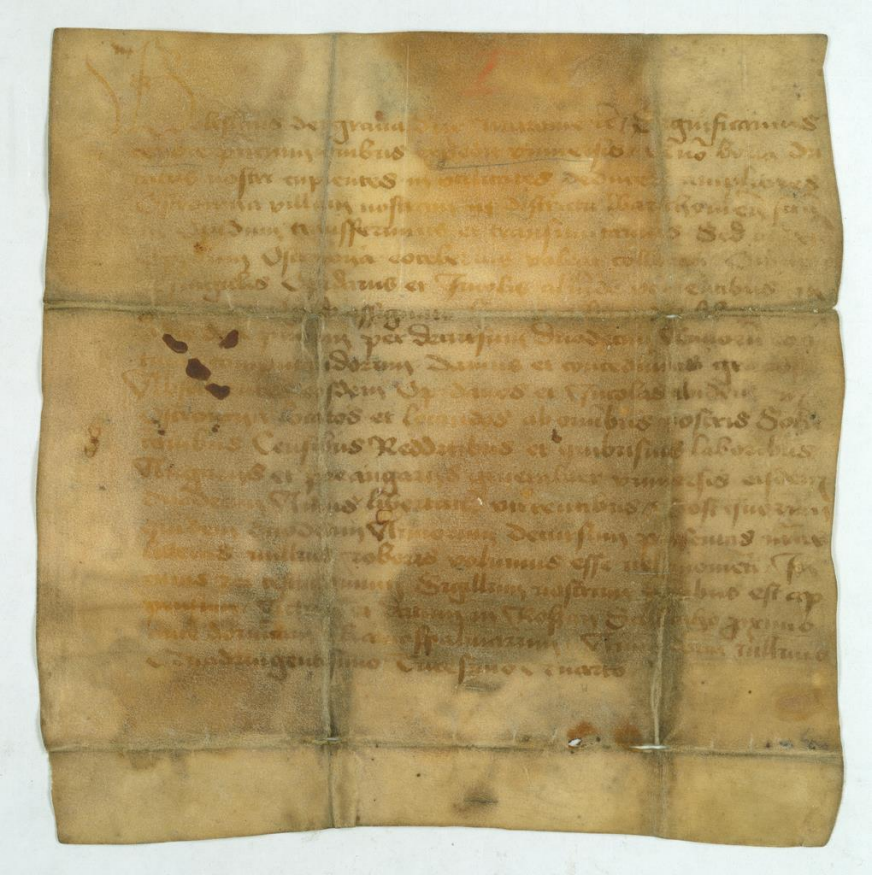

Akt podpisany w roku 1434, w Różanie, którym Bolesław IV, książę mazowiecki nadaje przywileje miejskie wiosce książęcej Ostrowia, z jednoczesnym uwolnieniem miasta na lat dwanaście od ciężarów i świadczeń książęcych.
Źródło: *Archiwum Główne Akt Dawnych by Wikimedia Commons*.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 63 z 8 sierpnia 1900 r.]

Zuzel (p. ostrowski). Szczepienie ospy i oględziny odbyły się po dawnemu, z tą odmianą, że niejedno maleństwo, nie zdążywszy na oznaczony czas i miejsce, odbyło podróż daleką i męczącą na próżno. Gorące życzenia mieszkańców, ażeby szczepienie ospy dokonywane było w każdej wsi większej, nie spełniły się.

Rokrocznie, sklep monopolowy tutejszy otrzymuje za trunki przeszło 3 tysiące rubli, w przeciwnym razie nie mógłby istnieć, ale na naprawę jednego głosu organowego zabrało 45 rubli i… miejsca. Znawcy, a jest ich dosyć, osądzili, że i tak będzie muzyka piękna, reszta wydatek niepotrzebny, bo czasy ciężkie, a kościół może by nie wytrzymał zbyt mocnego głosu. To też piszczałki zbywające ułożone są tymczasem w dzwonnicy na wolnym powietrzu. Dozór kościelny *in spe*, godzien słusznej pochwały, że tak oszczędny i umiejętnie łączy przyjemne z pożytecznym.

K.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 63 z 8 sierpnia 1900 r.]

Wylewanie nieczystości z balkonów i okien domów na ulicę nie należy w naszych miastach do spraw rzadko się przytrafiających, którymi, jednakże biedny dziennikarz zajmować się musi. Stanowczo trzeba by przy takiej operacji zachować większą ostrożność, a właściwie surowo zakazać takich nieporządków i pociągać winnych do odpowiedzialności. W niedzielę np. prąd jakiegoś płynu wylanego przez okno oblał cały kosz jabłek, które sprzedawała straganiarka. Jabłka swoją drogą były zielone, prawdopodobnie niedojrzałe, ale ci, co kupują tego rodzaju owoce, nabraliby wstrętu na całe życie, gdyby widzieli takie jabłka, polane owym płynem. Dodatek bardzo niepożądany.

Wylewanie nieczystości z okien to prastara europejska tradycja, która niektórych częściach kontynentu przetrwała bardzo długo. Prezentowana satyryczna grafika została wykonana w roku 1791 w Edynburgu. Źródło: The British Museum, reg. number J,1.13, 8 *britishmuseum.org*.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 82 z 13 października 1900 r.]

O mostki. Panie Reaktorze! Zarzekasz się, że już nie będziesz pisał o mostkach, że nie warto wszczynać hałasu o taką marną kwestię (gdybyś przypadkiem złamał nogę, nie powiedziałbyś, chyba że sprawa marna), że wreszcie cała masa pisania na psa się nie zda, bo głosy nie idą pod niebiosy. Taka niby głupia sprawa jak dziury lub chyboczący się mostek, którą by można załatwić w ciągu godziny, wymaga oto interwencji głów, które by mogły pisać o czymś ważniejszym. Pozwól więc, że my czytelnicy wyręczymy cię w tej sprawie. Mostki nasze, łączące domy i chodniki z ulicą są po prostu fatalne. Jeżeli nie słyszymy o nieszczęściach, to tylko dlatego, że przechodnie wolą przeskoczyć rynsztok, zamiast przejść po mostku, jak przystoi godnemu obywatelowi. Na wielu brak czasami deski, inne kołyszą się i chyboczą, inne zaś pełne są dziur.

[„Gazeta Podlaska”, nr 47 z 2 grudnia 1923 r.]

LISTY ZE STERDYNI
O naszej solidarności

Charakteryzując w dalszym ciągu ludność okolicy sterdyńskiej, muszę podkreślić jako ogólną ją cechę brak solidarności. Jeżeli np. w jakiej wsi, wyważy się z bruku kamień, to nikomu do głowy nie przyjdzie, by w tym miejscu bruk naprawić. Dopóty ludzie jeździć będą po zepsutym bruku, aż utworzy się głęboki dół, w którym niejeden wóz się połamie, czasami koń nogę zwichnie lub człowiek o mało nie utonie. Każdy przejeżdżający będzie wymyślał i przeklinał gospodarza, przy domu którego dom powstał, gospodarz zaś będzie miał pretensję do całej wsi i tak jedni na drugich wciąż winę składając, nie pomyślą, by rzecz wspólnie naprawić. Dopiero gdy przyjdzie „nakaz” i gdy sołtys ujmie sprawę w swe ręce, wtedy przy akompaniamencie narzekań i wymysłów, dół nareszcie zasypią i bruk naprawią.

Ten brak solidarności występuje na każdym kroku.

A ileż my tu mamy niezalesionych przestrzeni w wioskach nad Bugiem, złych dróg, nieskopanych strumieni, błot, moczarów etc.! W tych razach wspólna praca i solidarność mogłaby uchronić wioski od wielu szkód i przynieść ogółowi wiele korzyści.

Przypominam sobie zalesienie wydm piaszczystych we wsi Białobrzegi nad Bugiem. Śp. Ludwik Górski, właściciel Sterdyni, wiele lat z rzędu namawiał Białobrzeżan, ofiarowywał im sadzonki leśne i technika swojego, by zalesili swe wydmy. Nic nie skutkowało. Nareszcie udało się jakoś sprawę tę uskutecznić i dziś Białobrzeżanie dumni są ze swego pięknego zagajnika i zadowoleni, że lotny piasek już tak nie buja i nie zasypuje im pastwisk i gruntów.

Dziś np. okolica sterdyńska gwałtownie potrzebuje szosy, która by ją połączyła z najbliższą stacją kolejową. Chodzi o przeprowadzenie szosy na przestrzeni 5-ciu kilometrów. Dwory okoliczne ofiarowują na ten cel kamień i obowiązują się ponieść wszelkie wydatki, byle wsie zwiozły kamienie i pomogły przy równaniu plantu. Gminiacy na zebraniach gminnych

stanowczo odmawiają swego udziału w tej sprawie, powolni głosom paru mądrali, jacy zawsze na zebraniach gminnych się znajdą, którzy głoszą, że szosa potrzebna jest tylko dworom, że chłop bez niej obejść się może.

Ile razy na plan występuje sprawa społeczna, sprawa ogólna, to na szerszy ogół nigdy liczyć nie można, gdyż w umysłach wiejskich panuje jakiś bezwład, jakiś bezruch i nic ich poruszyć nie może. Gdy jednak przychodzi rozkaz z góry, to ludzie uczynią wszystko. Będą wprawdzie ociągać się, wyrzekać i stękać, ale zrobią i ze swej pracy są później zadowoleni, a nawet dumni. Tak było z przeprowadzeniem jedynej szosy, jaka powstała w naszej okolicy podczas okupacji niemieckiej. Ileż to było narzekań, ile kar zapłacono za opieszałość, ale Niemiec był twardy, szosa w krótkim czasie stanęła, a dzisiejszy Sterdyniak już zapomniał o przebytych przykrościach, chwali Niemca za tę szosę i dziwi się, jak to można było, przez tyle lat obchodzić się bez niej.

Zauważyć można na każdym kroku, jak wielką przeszkodą we wspólnej pracy jest ta nasza psychika, która wyczekuje tylko „nakazu" i która nie pozwala nam się jednoczyć. Jako przykład przytoczę jeszcze nasze Stowarzyszenie Spożywcze, które zainicjowane przez miejscowych inteligentów i kilku rozumniejszych włościan powstało przed kilkunastu laty w Sterdyni. Po trzech latach istnienia, stowarzyszenie miało już sporą ilość członków, inwentarz sklepowy przedstawiał się pokaźnie, składał się już kapitał zapasowy i fundusze na budowę Domu Ludowego, tworzyły się szerokie projekty na przyszłość, myślano o zmonopolizowaniu handlu produktami rolnymi etc. etc., gdy pewnego razu członkowie z okolicznych wiosek postanowili wycofać się ze spółki, gdyż takież spółki założą u siebie. I zamiast jednej spółki w Sterdyni, która doskonale mogła zaspakajać potrzeby ogółu, powstało kilka spółek, niemal w każdej wiosce. Gdy przekładano ludziom, że źle czynią, rozdrabiając się, stale twierdzili jedno: „Alboż my to gorsi od was, albo to my nie potrafimy handlować?". Stowarzyszenia te powoli zmarniały, ale jednocześnie zahamowały rozwój stowarzyszenia sterdyńskiego.

Brak poczucia narodowej jedności na każdym kroku przejawiał się podczas panowania u nas Rosjan i okupacji niemieckiej. Urząd powiatowy wiedział zawsze o każdym naszym kroku, o wszystkim, co się u nas dzieje, nawet o tym, co się działo i mówiło w ściśle zamkniętym kółku rolniczym. Niemiecki żandarm doskonale był poinformowany o każdym mieszkańcu, który by chciał ukryć garść zboża.

Tego rodzaju przykładów mógłbym przytoczyć wiele.

Brak jedności, brak poczucia solidarności czyni nasz ogół słabym i mało odpornym na wszelkie wpływy czynników zorganizowanych i karnych, a często nam wrogich.

Dr A. Jarosiński